

# *Andrzej Łuczeńczyk*

DZIEŁA ZEBRANE

 Państwowy  
Instytut  
Wydawniczy

I

*Przez puste ulice*

ZBIÓR OPOWIADAŃ

# Ciemna woda

## I

Odrzuciłem kołdrę całkiem. Było dobrze, coraz przyjemniej. Zacząłem już odczuwać ten skądś przychodzący, przyjemny chłód, który nie ziębi. Nigdy po obudzeniu się nie ucinam sobie drzemki. Nigdy. Wydaje mi się, że nie mógłbym tego zrobić. Tak samo, jak nie mógłbym spać w piżamie. Nie zasnąłbym chyba. Lubię, kiedy czuję na skórze kołdrę, prześcieradło, poduszkę... Śpię zawsze tylko w spodenkach. Jeżeli śpię sam, bo jeśli mam dziewczynę, to śpimy wtedy oboje nago. Kiedyś, nie wiadomo dlaczego, zacząłem myśleć, jakby to wyglądało, gdybym szedł do łóżka z dziewczyną i oboje mielibyśmy na sobie piżamy czy coś tam innego. Nie dokończyłem myślenia; choć byłem w pokoju sam, roześmiałem się na cały głos.

Spojrzałem na budzik, który stawiam na krześle, tuż przy tapczanie, obok zegarka, który zawsze na noc odpinam. Nie obawiam się, że mogę zasnąć, nie zdarzyło mi się to jeszcze nigdy, ale po obudzeniu się lubię spojrzeć, która godzina, a nie chce mi się tak od razu wyciągać ręki i sięgać po zegarek. Wystarczy tylko spojrzeć.

Tak jak nie lubię drzemki, tak za to bardzo lubię po obudzeniu się poleżeć sobie jeszcze chwilę. Najpierw odkryć się tylko trochę, do pasa, a później odrzucić kołdrę całkiem i leżeć tak, i czuć, jak przychodzi skądś jakiś taki przyjemny, orzeźwiający chłód, który nie ziębi. Dobrze jest wtedy, bardzo dobrze. Po jakimś czasie chłód ten mija i jest już wtedy całkiem zwyczajnie, ale ja zawsze wstaję podczas tego chłodu. Wtedy kiedy czuję, że zaraz minie.

Usiadłem i zacząłem się ubierać. Ubranie trzymam blisko, lubię się ubierać, siedząc na tapczanie. Najpierw spodnie. Zawsze nakładam najpierw spodnie. Albo skarpetki. Najpierw spodnie, a później skarpetki albo najpierw skarpetki, a później spodnie. Ale nigdy nie zaczynam ubierania się od koszuli. Mógłbym chodzić po mieszkaniu bez koszuli, czasami bardzo to nawet lubię i sprawia mi to przyjemność, ale na przykład nie mógłbym chodzić bez spodni, tylko w koszuli i w skarpetkach. Kiedyś, pamiętam, obudziłem się jakiś taki, że chciało mi się odrzucić kołdrę i nie chciało, to chciałem ją z siebie zedrzeć, to znów cały jakby tężałem i było mi pod nią bardzo dobrze. Wtedy to, nie wiem, co się stało, po nałożeniu skarpetek nałożyłem koszulę. Zobaczyłem to dopiero wtedy, kiedy chciałem

wstać. Nie wstałem. Nie mogłem. Siedziałem i nie mogłem wstać. Nie chciałem mieć na sobie tej koszuli, ale jednocześnie nie mogłem zacząć jej zrzucać. Ruszałem jakoś tak ramionami, plecami i chciałem, aby ta koszula po prostu ze mnie zniknęła. Nie przypominam sobie, jak to się stało, że nagle złapałem materiał po obu stronach rozcięcia i szarpnąłem tak, że guziki przysnęły w różne strony. Potem zerwałem ją z siebie i odrzuciłem. Posprzątałem wszystko dopiero wtedy, gdy wróciłem z pracy.

Kiedy umyłem się i ogoliłem, dopiero nałożyłem koszulę i buty. Nie lubię przyrządzać sobie i jeść śniadania, jeśli nie jestem ubrany. Woda już się zagotowała, zacząłem więc smażyć jajecznicę. Zjadłem ją, zagryzając chlebem i popijając herbatą – wprost z patelni. Niektóre rzeczy smakują mi lepiej, gdy jem z patelni czy z rondla, niż gdybym jadł je z talerza.

I od razu wszystko pozmywać, powycierać i posprzątać. Kiedyś nie zrobiłem tego od razu, a chciałem pozmywać po kilku śniadaniach i kilku kolacjach, ale nie mogłem się do tego zabrać. Po prostu nie mogłem. Skończyło się na tym, że wszystkie brudne naczynia musiałem powyrzucać.

Teraz dopiero wróciłem do pokoju, wygodnie się rozsiadłem i zapaliłem papierosa. Był to mój drugi papieros tego dnia. Pierwszego pałę zawsze przy goleniu. Paliłem więc tego pierwszego niby na czczo, ale nie całkiem; kiedyś gdzieś bowiem przeczytałem, że jogowie, jak tylko się obudzą i wstaną, wypijają zawsze szklankę zimnej wody. Zaciekawilo mnie to i kilka razy spróbowałem. Później, sam nie wiem kiedy, przyzwyczailem się do tego i tak już zostało.

Przypiąłem zegarek, nałożyłem sweter i lekką wiatrówkę i wyszedłem. Nigdy nie noszę ze sobą teczki czy też jakiejś innej rzeczy w tym rodzaju. Nie umiem, po prostu nie umiem. Jeśli czasem tak wypadnie, że już koniecznie muszę zabierać jakieś papiery z biura do domu lub na odwrót, zawsze zwijam je w rulon i okręcam gazetą. Jak rulonik jest mały, wsadzam go do wewnętrznej kieszeni wiatrówki, a jak większy, niosę go w ręku lub pod pachą. Ale teczki czy czegoś innego w tym rodzaju nie używam nigdy. Trochę to dziwne, bo nic sobie nie robię na przykład z tego, jak idę z siatką kupić coś do jedzenia albo niosę pełną siatkę butelek z piwem. Lubię piwo i zawsze trzymam w domu kilkanaście butelek. Dobrze jest mieć je tak pod ręką. Nie musi się wtedy wychodzić, gdy ma się ochotę napić, a nie ma się ochoty przynieść.

Przyszedłem do biura tak jak zawsze; kilka osób w naszym pokoju już było, a kilka miało przyjść po mnie. Zobaczyłem, że wszyscy stoją przy stole obok mojego, przy stole Marka, a Leon, który przyszedł chyba tuż przede mną, składa mu życzenia. Wtedy dopiero przypomniałem sobie, że to właśnie dzisiaj Marek obchodzi imieniny. Podszedłem też od razu i złożyłem mu życzenia, a z resztą, że stali blisko, przywitałem się. Zawsze witam się tylko z Markiem, który pracuje przy sąsiednim

stole, a jeśli jest jeszcze w pobliżu ktoś, to i z nim. Nigdy nie obchodzę wszystkich tylko po to, aby podać im rękę; mówię im wszystkim „cześć”.

Wiedziałem już, że dzisiejszy wieczór spędzę u Marka. Zawsze tak było. Zawsze z Markiem, jako że pracujemy obok siebie, zapraszamy się na imieniny. On zaprosił mnie pierwszy. Spotkałem tam jeszcze dwóch kumpli i cztery dziewczyny, wszyscy z naszego biura. To i ja, kiedy były moje imieniny, zaprosiłem do siebie Marka i dwóch kumpli, i cztery dziewczyny. Potem ci kumple i te dziewczyny zapraszali mnie do siebie. U Marka byli przeważnie zawsze ci sami kumple (dziewczyny zmieniały się częściej), ale u mnie stałym był tylko Marek. Nie pamiętam już nawet, kogo przez tych parę lat dobierałem do czwórek i ósemek.

I tak, zaraz później, Marek powiedział mi, abym przyszedł do niego wieczorem, o siódmej. Zapytał mnie też, z kim przyjdę. Odpowiedziałem, że sam. Zdziwił się i wyglądało, że nawet bardzo. Powiedziałem wtedy, że nie mam takiej dziewczyny, z którą chodziłbym na imieniny, a skoro są to imieniny jego i gości zaprasza on, więc niech zaprosi jakąś dziewczynę, która byłaby do pary. Dla mnie, ściśle mówiąc, jeżeli on i tamci dwaj (powiedziałem — „wy”) mają już dziewczyny, z którymi przyjdą.

Ale Marek dziwił się nadal. Zapytał mnie, dlaczego na przykład nie wezmę ze sobą Marty. „Poszłaby z tobą — powiedział. — Poszłaby na pewno! Kocha się w tobie, wiesz?” Odpowiedziałem, że wiem. Nie wiem, czy spodziewał się takiej odpowiedzi, czy innej, ale kiedy to usłyszał, popatrzył na mnie i chciał coś powiedzieć, ale urwał, zanim jeszcze zaczął. Po chwili pokręcił tylko głową i roześmiał się. Zapytałem go wtedy, co i w czym widzi takiego śmiesznego. Odpowiedział, że nie może zrozumieć, dlaczego nie chcę wziąć ze sobą dziewczyny, która się we mnie kocha i która poszłaby ze mną „nie tylko na imieniny...”, jak powiedział.

Marta pracowała w tym samym biurze co i ja. Kochała się we mnie, tak. Wiedziałem o tym. Wiedzieli o tym zresztą i inni, których nic to przecież nie obchodziło, a którzy z racji posiadania tej wiadomości próbowali ze mną o tym rozmawiać. Próbowali, bo takie rozmowy zawsze z miejsca ucinałem. Albo nie odzywałem się, i ten ktoś zaraz odchodził, albo gdy widziałem, że nie ma zamiaru odejść tak szybko, wtedy przerywałem mu i spokojnie zaczynałem mówić o czymś innym. Przerzywałem naprawdę spokojnie i grzecznie, bez stanowczości nawet, ale nie zdarzyło się jeszcze nigdy, aby po tym moim wtręciu ten ktoś znowu powracał w rozmowie do Marty.

Pracowaliśmy razem już długo, ale zawsze spotykałem się z Martą tylko przypadkowo i niby to przypadkowo. Wiedziałem, że nie wszystkie te nasze spotkania są przypadkowe tak zupełnie. Tak, kochała się we mnie, wystarczyło tylko na nią popatrzeć, kiedy rozmawialiśmy. I wiedziałem, że jest to widoczne nie tylko dla mnie, ale dla każdego, kto trochę w naszym biurze pracował i cokolwiek o różnych sprawach uczuciowych wiedział.

Byłem dla niej miły. Nie udawałem też, że o niczym niby to nie wiem. Ale nie rozmawialiśmy o tym nigdy. Marta była naprawdę miłą i ładną dziewczyną i kiedy czasem o niej myślałem, to czułem nawet żal, że dlaczego niby ja jej też nie kocham. Na pewno nie szedłbym wtedy na imieniny do Marka sam. Ale nie powiedziałem mu tego. Jego to bowiem nie dotyczyło, a dla mnie wszystko było jasne.

Oprócz mnie Marek zaprosił jeszcze Leona i Jula, którzy pracowali razem z nami (Leon nawet w tym samym pokoju), i cztery dziewczyny, też z tego samego biura. Z dziewczyną, z którą miałem być ja, znaliśmy się trochę, i Marek wydawał się z tego powodu zadowolony. Domyśliłem się, że mogłoby mu być trochę przykro, gdybym był niezadowolony z dziewczyny, którą dla mnie zaprosił. Uśmiechnąłem się. Przecież nie wybierał mi dziewczyny do łóżka, lecz na imieniny. I te jego niepokoje wydały mi się naprawdę bardzo śmieszne. To fakt, że na tę, którą dla mnie zaprosił, nie miałem wcale ochoty (ładna była, nie powiem), ale nie miało to przecież najmniejszego znaczenia.

Już któryś raz z rzędu tańczyłem z Ewą. Zaczynało być mi z nią coraz lepiej, o wiele lepiej niż z każdą z tamtych, z którymi tańczyłem do tej pory. Zobaczyłem też, że jej również jest ze mną dobrze i że już nie tylko nie chce się jej odchodzić, ale nawet chciałaby ze mną zostać. Kiedy płyta się skończyła i usiedliśmy, mocno poczułem swoim udem jej udo, a pod ręką plecy, po których im dłużej przesuwałem dłonią, tym bardziej zdawały się czegoś nasłuchiwać i oczekiwać.

Jul był jakiś bardziej ożywiony niż zwykle. Opowiadał cały czas dowcipy, jeden za drugim, i zawsze pierwszy zaczynał się z nich śmiać. A kiedy zwracał się do mnie, wydawał się ożywiony jeszcze bardziej, w sposób jakiś jakby nawet nadskakujący.

Tańczyliśmy znowu. W pewnej chwili przyciągnąłem Ewę do siebie tak, że na moment zatrzymaliśmy się, stanęliśmy w miejscu i przylegaliśmy do siebie coraz bardziej i bardziej. Ale raptem Ewa mruknęła coś i biodrami i udami odsunęła mnie od siebie. Przez tę krótką chwilę poczułem ją jeszcze bardziej, poczułem ją prawie całą i prawie całym sobą.

Kiedy melodia się skończyła, usiedliśmy na chwilę znowu. Jak przedtem, siedzieliśmy tak bardzo blisko i mocno obok siebie i wtedy usłyszałem taki jakby metaliczny, suchy chrzęst, jaki wydawały pończochy Ewy gdzieś tam na jej udach. Nagle uspokoiła się. Nie odeszła ode mnie ani się nie oddaliła, ale stała się nagle jakaś bardzo spokojna. Ścisnęła mnie tylko mocno za rękę.

Uniosła się chyba pierwsza, ale wstaliśmy razem. Przeszliśmy przez pokój i wyszliśmy do korytarza. Pomogłem jej włożyć płaszcz, który zdjęła z wieszaka spod czyjś męskiego. Kiedy się ubierała, ja cofnąłem się, podszedłem do drzwi pokoju i powiedziałem wszystkim „cześć”. Odpowiedzieli mi wszyscy, z wyjątkiem Jula. Siedział zwrócony bokiem do mnie i widział mnie, jak stałem w drzwiach, ale

nie zwrócił się w moją stronę tak jak wszyscy, tylko z wielkim przejęciem opowiadał coś Markowi. Dobiegło mnie kilka zdań z tego, co mówił, i zdziwiłem się, co go w tym jego opowiadaniu mogło tak podniecać.

Pojechaliśmy do Ewy. Powiedziała, że nie chce później nigdzie wracać, a musiałyby, gdybyśmy pojechali do mnie. Nie zapalaliśmy światła. Ani wtedy, kiedy przyszlismy, ani wtedy, kiedy wychodziłem. Było mi dobrze, kiedy wracałem. Tak dobrze, że nie chciało mi się nawet zatrzymywać przejeżdżających taksówek, wolałem iść pieszo.

Kiedy drugiego dnia po przyjściu do pracy jak zwykle przywitałem się z Markiem, ten uśmiechnął się, potem roześmiał, a potem odwrócił się i zaczął się śmiać bez przerwy. Kilka razy zapytywałem go, o co chodzi, ale on nic nie odpowiedział, tylko śmiał się bez przerwy dalej. W końcu klepnął mnie w ramię i nadal nie przestając się śmiać, poszedł do swojego stołu.

Tak samo było z Leonem. Roześmiał się, kiedy tylko mnie zobaczył, a kiedy spojrział na Marka, który oparł się o stół i wprost zanosił się od śmiechu, też nie mógł się powstrzymać i zaczął się śmiać. Czasami widać było, że chce coś powiedzieć, ale śmiech mu nie dawał. Jednak jakoś opanował się trochę i zapytał, czy widziałem się z Julem. Odpowiedziałem, że nie. Powiedziałem, że wyszedłem przecież wcześniej od niego, razem z Ewą, więc w jaki sposób mógłbym się z nim spotkać? Dodałem też, że dzisiaj również jeszcze się z nim nie widziałem. Zdziwiło mnie to pytanie, bo choć z Julem znamy się i pracujemy razem już od dawna, to nie pamiętam, abym kiedykolwiek do tej pory miał do niego jakąś sprawę. On czasem zwracał się z czymś do mnie, ale ja do niego nigdy. Powiedziałem im to i zapytałem, o co chodzi. Zobaczyłem, że przestali się nagle śmiać i tylko patrzą na mnie jakby w zaciekawieniu. Wtedy przypomniałem sobie coś; to, co mówiono o Julu i Ewie. Niby już teraz rozumiałem wszystko, ale nie rozumiałem nic. Zapytałem ich więc, czy wszystko to ma może jakiś związek z Ewą, z tym, że Ewa poszła wczoraj ze mną. A jeśli tak, to dlaczego nie mówią o mnie i o Ewie, lecz o mnie i o Julu.

Wydawali się nie rozumieć z mojego pytania nic. Leon bąknął coś, zakręcił się i zaraz odszedł, a Marek schylił głowę i zaczął przeglądać przybory. Nie śmiał się już. Ale za to mnie zachciało się nagle śmiać. Z tego wszystkiego, z tego, co niby rozumiałem, a czego w rzeczywistości zrozumieć nie mogłem. Roześmiałem się. Marek spojrział na mnie jakby czegoś zdziwiony, uśmiechnął się też bezwiednie do mojego uśmiechu, ale sam już się nie roześmiał.

Ledwie zaczęliśmy pracę, kiedy powiedziano mi, że woła mnie szef. Zapytałem, po co. Nie wiedzieli, więc upewniłem się, czy aby rzeczywiście mnie, a nie kogo innego. Byłem tym zdziwiony; nie wiedziałem, czego szef może ode mnie chcieć. Projekt miałem oddać dopiero za kilka dni, zaległości żadnych nie miałem, o co więc mogło chodzić?

Z początku rozmawialiśmy o niczym. Szef miał dziwny sposób zwracania się do mnie: mówiąc poważnie, rzeczowo — zwracał się do mnie „panie Tomku”, a kiedy rozmowa stawała się już mniej zasadnicza — mówił mi „panie Tomaszu”. Zupełnie na odwrót, niż uważałem.

W pewnym momencie szef przysunął się z fotelem do biurka, nachylił się w moją stronę i oglądając sobie ręce, zaczął mówić głosem bardziej poufałym: „panie Tomaszu”. Mówił, że ma o mnie jak najlepsze zdanie (chciałem się wtrącić i powiedzieć, że oceniając moją pracę, nie mógłby chyba mieć innego zdania, ale milczałem), że ceni sobie moją rozważność, moje to, tamto i tak dalej, i tak dalej. Słuchałem i nie przerywałem, ale nadal nie wiedziałem, do czego zmierza. To, co mówił, było mi doskonale wiadome, wiedziałem o tym i bez niego. Z tą tylko różnicą, że ja o tym po prostu wiedziałem, a szef uważał to wszystko za coś strasznie wyróżniającego.

W końcu zapytał mnie, jeszcze bardziej poufnie, co sądzę o JK. Dodał, że powinienem znać go dobrze, jako że kiedyś dłuższy czas pracowaliśmy razem.

Zastanowiłem się. To prawda, że kiedyś dłuższy czas pracowaliśmy z JK razem. Jaki był? Nie wiem. Wiedziałem tylko, że czasami postępował jak świnia. Ze mną też parę razy tak postąpił. Dlatego nie chciałem pracować z nim dłużej. Później też dochodziły mnie słuchy o niektórych jego wyczynach.

Cóż miałem odpowiedzieć szefowi... Odpowiedziałem, że nie wiem, jaki jest JK. Po prostu: JK nie odpowiadał mi, więc unikałem z nim kontaktów. Szefowi tego nie powiedziałem, ale tak sobie właśnie pomyślałem. Pomyślałem też, że jaki jest JK, jest wyłącznie sprawą jego, JK, a jeśli taki, jaki jest, mi nie odpowiada, to nie chcę mieć z nim żadnych wspólnych spraw. Szef zastanowił się nad czymś, a potem powiedział, że skoro nie wiem, jaki JK jest, to abym powiedział, co o nim myślę. Odpowiedziałem, że nie myślę o nim nic, po prostu nie mam z nim nic wspólnego. Po milczeniu, które teraz na krótko zapadło, szef znów zaczął mówić do mnie „panie Tomku”. Porozmawialiśmy jeszcze chwilę to o tym, to o owym, po czym szef powiedział „dziękuję” i „to byłoby wszystko, o czym chciałem z panem porozmawiać, panie Tomku”.

Kreśliłem dalej, kiedy nagle przerwałem, odłożyłem ołówek, zapaliłem papierosa i zacząłem uważnie przypatrywać się rysunkowi. Skończyłem palić jednego papierosa i zaraz zapaliłem drugiego. Tak, chyba się nie myliłem. Zrobiłem z boku kilkanaście obliczeń, a później przyłożyłem kilka razy linię do rysunku, ale inaczej niż to należało zrobić według obliczeń tych, które miałem przedtem. Zgadzało się, ale dla pewności sprawdziłem jeszcze raz. Wyszło tak samo. Teraz już wiedziałem, że się nie mylę.

22 Właśnie zbierałem się iść po raz drugi tego dnia do szefa, kiedy szef wszedł niespodziewanie do naszego pokoju sam. Pozostałem więc w miejscu. Szef lubił



czasem chodzić tak po pokojach i patrzeć, jak pracujemy. Zatrzymywał się przy każdym stole, czasem coś powiedział, czasem o coś zapytał. Doszedł wreszcie do mnie i jak już przystanął i spojrzął na rysunek, a potem na mnie, bo stałem z założonymi rękami i paliłem papierosa i widziałem, że chce o coś zapytać, wtedy odezwał się ja. Najpierw zapoznałem go z całością, a potem pokazałem obliczenia, które zrobiłem, i pokazałem wszystko linią na rysunku. Wyjaśniłem, że kreśląc według moich obliczeń, będzie tego kreślenia o wiele mniej, a rysunek stanie się do wykonania prostszy i łatwiejszy.

Szef zmarszczył czoło, a potem szybko sięgnął do leżącej paczki moich papierosów. Chciałem podać mu ogień, ale nie zdążyłem, tak szybko złapał zapałki. Zapalił dopiero drugą, pierwszą złamał. Stał chwilę, bezdźwięcznie ruszając wargami, kiedy sprawdzał obliczenia i kiedy przykładał kilkakrotnie linię do rysunku.

Wtem rozjaśnił się i przygryzł dolną wargę. „No tak — powiedział cicho z przygryzioną dolną wargą. — No tak!” — wykrzyknął i mocno stuknął ołówkiem w rysunek. Wydawał się niezmiernie szczęśliwy, jeszcze kilka razy powtarzając to „no tak!”, tak samo głośno, omal nie wykrzykując.

Podszedł do nas Marek i jeszcze kilku, a po chwili przy moim stole zebrali się wszyscy. Byli bardzo zaciekawieni. Szef, z błyszczącymi oczami i ogromnie podniecony, objaśniał, stukając ołówkiem w wyliczenia, a potem pokazując im to na rysunku. Zrozumieli chyba dobrze za pierwszym razem, ale szef tłumaczył im znowu od początku. Nie zwracał nawet uwagi na to, czy ktoś słucha jego objaśnienia. Nagle przerwał i szybko prawie biegiem opuścił pokój.

Nie pracował nikt. Wszyscy zebrali się przy moim stole i niezmiernie ożywieni jeszcze raz wszystko sprawdzali. Gratulowali mi i kiedy na nich patrzyłem, wydawali mi się wprost rozradowani. Nie wiem, w jaki sposób, ale musieli się o tym dowiedzieć i w innych pokojach, bo raptem zobaczyłem, że osób jest o wiele więcej, niż nas tutaj pracowało. Ci, co wiedzieli już, o co chodzi, tłumaczyli innym. Ja stałem z boku, bowiem dla mnie nie było w tym już nic ciekawego. Wtem zobaczyłem Martę: wspinała się na palce i zaglądała komuś przez ramię, i wyglądała na taką szczęśliwą, a widok ten był tak rozbijający, że aż się roześmiałem. Nie zobaczyła tego, i dobrze. Potem, nie wiadomo skąd, znalazła się przy mnie i też złożyła mi gratulacje. Nadal bardzo się cieszyła i na koniec, sama nie zdając sobie z tego sprawy, ścisnęła mi palce tak silnie, że aż zabolą. Zaraz wróciła z powrotem do rysunku, sama jedna rozradowana tak, jak tamci wszyscy razem. A ja pomyślałem, że to dobrze, że nie dostrzegła tego swojego silnego uścisku, mogłoby to bowiem zepsuć jej całą radość.

Zaczynałem się już niecierpliwic. Najgorzej, że nic na ten rozgardiasz nie mogłem poradzić. Kreślić dalej, czyli kończyć ten sam projekt, nie było przecież sensu, a zaczynać nowego nie mogłem, dopóki wszystko nie zostanie dokładnie

omówione z szefem, a może i z kimś tam jeszcze. Stałem więc i nie robiłem nic, tylko coraz bardziej się niecierpliwiłem. Wtedy zjawił się znowu szef.

Przyszedł razem z dyrektorem. Wszyscy odsunęli się z szacunkiem, a szef rozejrzawszy się i zobaczywszy mnie stojącego z boku, na moment jakby się zdziwił, ale zaraz skinął ręką, abym do nich podszedł. „Oto właśnie pan Tomasz Bur” — powiedział bardzo ożywiony i rozradowany. Dyrektor podał mi rękę i spojrzał na mnie ciekawie, a szef złapał od razu za ołówek i zaczął pokazywać na rysunku, co i jak. Naraz przerwał, zająknął się, spojrzał na mnie, zaczął przeproszając się uśmiechać, i oddając mi ołówek i nadal się jękając, z jakimś zażenowaniem powiedział, abym ja sam... Zacząłem więc objaśniać jeszcze raz. Kiedy skończyłem, dyrektor był tak samo ożywiony i rozradowany jak szef i reszta. Też złożył mi gratulacje, przez dość dłuższą chwilę trzymając moją dłoń w swojej i dość mocno nią potrząsając. Zaraz też polecił szefowi zdjąć rysunek i zanieść do siebie do gabinetu, a mnie powiedział, abym przyszedł tam za godzinę.

Po zabranii rysunku i odejściu szefa i dyrektora zaczęto się rozchodzić, każdy do swojej roboty, a ja nie wiedziałem, co mam robić. Przedemną była tylko pusta deska i do roboty nie miałem dosłownie nic. Brałem do ręki i odkładałem z powrotem różne przybory. Czułem się jakoś dziwnie, kiedy tak po prostu musiałem tylko stać, a dookoła wszyscy pracowali i nadal rozmawiali o moim rysunku. Nie wiedziałem, co mam ze sobą robić. W końcu wyszedłem na korytarz.

Ale i tutaj czułem się tak samo. Za każdymi drzwiami pracowali, i ja o tej porze też zawsze pracowałem. Usiadłem na parapecie, wypaliłem dwa papierosy, a potem jeszcze jednego. Kiedy tylko minęła godzina, poszedłem do gabinetu dyrektora.

Był tam również szef. Jeszcze raz złożyli mi gratulacje, a potem zaczęliśmy już rozmawiać bardziej rzeczowo i szczegółowo. Trwało to długo. Kiedy wreszcie wszystko zostało dokładnie omówione, w biurze nie było już nikogo, porozchodzili się do domów jakieś pół godziny temu. Wszedłem jeszcze na chwilę do sali, gdzie pracowałem, podszedłem do swojego stołu, rozejrzałem się, coś tam poprawiłem i wyszedłem z biura i ja.

Myślałem o tej premii, o której kilka razy wspomniał mi dyrektor. Miało to być nawet sporo. Zastanawiałem się teraz, co mam zrobić z tymi pieniędzmi. Kupować sobie niczego nie potrzebowałem, a na urlop też miałem odłożone tyle, ile potrzeba. Wiedziałem już też, gdzie pojadę, a tam nie potrzeba było mi aż tyle. Gdybym wiedział o tej premii jakoś wcześniej, wtedy zaplanowałbym sobie urlop gdzie indziej, a teraz? W końcu pomyślałem, że najwyżej kupię za te pieniądze coś, czego mi wcale nie potrzeba, ale co nie będzie mi też przeszkadzało. Uznałem, że będzie to najlepsze wyjście w tej sytuacji.

24 Pracowałem uważnie zawsze, ale teraz kreśliłem prawie w napięciu. A praca, którą wykonywałem, wcale nie wymagała, aby skupiać się aż tak bardzo. Nie wiem,

co to było. Przed nakreśleniem jakiegoś najmniejszego choćby detalu przymierzałem się po kilkanaście, a czasem i więcej nawet razy. A kiedy już nakreśliłem, to też nie odrywałem od razu linii od papieru, tylko wpatrywałem się w to, co narysowałem, i chwilami przyciskałem linię tak mocno, że aż zaczynały pocić mi się czubki palców. Później, sam nie wiem dlaczego, przerwałem robotę i nacisnąłem ołówek o krawędź stołu. Grafit prysnął gdzieś w bok. Wziąłem drugi i zacząłem jak rylcem sunąć nim wolno po desce. Też się złamał. Zacząłem przebierać w pozostałych, ale tylko przebierałem, nie łamałem ich już. W końcu wziąłem szczyryk i zacząłem temperować tamte dwa. Temperuję zawsze szczyrykiem, tak jest najlepiej. Temperowałem i temperowałem. Jeden ołówek ściałem do połowy i odłożyłem go, a drugi zaostrzyłem dobrze i trzeba go było tylko trochę poprawić, ale ja dotykałem tylko ostrzem grafitu. Nie poprawiałem.

Nie poszedłem na obiad. Zjadłbym coś, to prawda, ale nie chciało mi się jeść. Szedłem do domu i czasami wydawało mi się, że idą tylko moje nogi, a reszty mnie nie ma, a czasami, że poruszam się nad ziemią bez pomocy nóg. Nie czułem ich wtedy, nie czułem stawianych kroków.

Było pochmurno. Zaciągnąłem zasłonki i w pokoju zrobiło się jeszcze ciemniej. Dobrze tak. Siedziałem w fotelu i jakbym nie usiadł, zawsze mi było jakoś niewygodnie. Zachciało mi się piwa. Ale nie chciało mi się iść do szafki do kuchni. Wreszcie jednak wstałem i poszedłem. Ale w połowie drogi usiadłem na podłodze i nie chciało mi się ani iść dalej, ani wrócić. Siedziałem, aż w końcu, naprężając wszystkie mięśnie — choć wcale nie musiałem tego robić, aby się unieść — wstałem. Poszedłem dalej po to piwo.

Przedtem chciałem się go napić, miałem na nie ochotę, ale teraz, gdy piłem, to czułem, że to nie jest to, czego chciałem. Ani mi smakowało, ani nie smakowało. Wypiłem całą butelkę i znów usiadłem na podłodze. Ale teraz wstało mi się trochę lepiej.

Chodziłem po pokoju i chciałem usiąść, ale nie wiedziałem gdzie. Wreszcie przysiadłem na brzegu stołu, naprzeciwko okna. Było pochmurno, a teraz zaczął padać deszcz. Usiadłem wygodniej, nogi też podciągnąłem na stół i objąłem je rękami, a brodę wsparłem na kolanach. Obejmowałem rękami nogi coraz silniej, silniej. Kulilem się wbijałem brodę w kolana.

Nie wiem, jak zsunąłem się ze stołu. Nie upadłem ani się nie stoczyłem, ale nagle znalazłem się znów na nogach. Przeszedłem parę kroków i zawróciłem, znów przeszedłem parę kroków i znów zawróciłem. Zwroty te robiłem w miejscu. Naraz podszedłem do szafy, otworzyłem ją i wyjąłem gruby sweter. Miałem na sobie koszulę i cienki sweterek, nie było mi zimno, ale nałożyłem jeszcze i ten gruby i obszerny.

Położyłem się na tapczanie. Zwinąłem się w kłębek i sweter, ten gruby i obszerny, naciągnąłem na głowę i skryłem się w nim. To naprężyłem mięśnie, aż prawie

do skurczu, to rozluźniałem je. Skulony byłem mocno, ale chciałem skulić się jeszcze mocniej. Tak zasnąłem.

Kiedy się przebudziłem, było już ciemno. Usiadłem, podwinąłem pod siebie nogi i zsunąłem z głowy sweter. Deszcz padał dalej. Było już ciemno, ale ciemność ta nie była czarna, lecz szara. Zlazłem z tapczanu i zacząłem chodzić po pokoju. Chodziłem wolno, ręce miałem skrzyżowane na piersi i dłońmi trzymałem sweter na ramionach, z obu stron szyi. Chodziłem wolno, nie słyszałem swoich kroków.

Przystanąłem przed otwartą szafą. Zawsze, ile razy coś z niej wyjmowałem, zamykałem drzwi, ale dzisiaj, kiedy wyjąłem z niej ten sweter, zostawiłem otwarte. Zatrzasnąłem je i otworzyłem znowu. Wyjąłem krótką kurtkę. Nie lubię chodzić w długich rzeczach, nigdy w nich nie chodzę. Nie mógłbym się czuć w nich swobodnie. Nie miałem jeszcze żadnej długiej rzeczy, ale wiem, że nie mógłbym w nich chodzić.

Deszcz padał mi prosto w twarz. Nie był ostry, ale gęsty. Nie zapiąłem kurtki. Podniosłem tylko kołnierz, a ręce włożyłem do kieszeni. Przed skrzyżowaniem paliło się czerwone światło. Nie czekałem na zmianę, tylko poszedłem przed siebie drugą ulicą.

Znów doszedłem do skrzyżowania i znów paliło się czerwone światło. Też nie czekałem na zmianę, a skręciłem i poszedłem dalej. Tak było jeszcze kilka razy. Ale przed którymś skrzyżowaniem zatrzymałem się i poczekałem na światło zielone. Odtąd już, jeśli natrafiłem na światło czerwone, a chciałem przejść, nie skręcałem i nie szedłem dalej, tylko czekałem na zmianę.

Na dworcu było tłoczno i gwarno. Szedłem takim samym równym krokiem jak na ulicy i torowałem sobie drogę między ludźmi. Przy bufecie z piwem zobaczyłem Leona i Witka. Witek miał w ręku walizkę, a na ramieniu torbę. Przypomniałem sobie, jak kilka dni temu mówiono, że Witek ma gdzieś tam jechać. Teraz chyba właśnie odjeżdżał, a Leon przyszedł razem z nim. Leon zobaczył mnie; podniósł rękę i zaczął dość głośno przywoływać mnie do siebie. Był podpity. Patrzyłem na niego, bo akurat szedłem w tym kierunku, ale nie odezwałem się i nie podszedłem. Zaraz skręciłem, bo przede mną zrobiło się bardziej tłoczno, a po boku było luźniej. I jak skręciłem, to wtedy zobaczyłem tę kobietę.

Szedłem wprost za nią. Stała oparta o ścianę. Gdyby siedziała, wtedy na pewno wparłbym swoje kolano między jej nogi i wcisnął głęboko w uda. Ale ona stała. Zobaczyła mnie. Podchodziłem do niej, byłem już blisko i patrzyliśmy na siebie. Podniosła rękę do szyi, jakby chciała tam coś poprawić, ale zaraz ręka ta osunęła się po bluzce i po brzegu płaszcza. Zatrzymałem się tuż przed nią, chciałem ją przyprzeć jeszcze bardziej do ściany, ale nie przyparłem, a ona chciała cofnąć się, ale też się nie cofnęła. Stałem nieruchomo, ale moja noga zaczęła nagle być między jej nogami. Napierałem udem coraz silniej. Ona też stała nieruchomo i z początku zwieriała mocno uda, ale potem nagle rozluźniła się i uległa. Staliśmy tak

nieruchomo naprzeciwko siebie, oddaleni o jakieś pół kroku. Przestałem czuć swoją nogę pomiędzy jej nogami i ona też przestała. Raptem usta jej ściągnęły się, nie poruszając głową, rozejrzała się i chciała się usunąć. Ale tylko chciała. Nie wykonała najmniejszego ruchu. Ja swoim ruchem, którego też nie wykonałem, zastąpiłem jej drogę. Potem wyciągnąłem rękę i wziąłem ją za ramię. Wydawało mi się, że coś w niej chciało zadrzeć. Poszliśmy do wyjścia.

Znów zobaczył mnie Leon. Zobaczył nas teraz oboje. Zaczął machać ręką i krzyżeć, a potem, przeciskając się, ruszył w naszą stronę. Nie oglądałem się, ale gdyby chciał mnie zatrzymać, kopnąłbym go z całej siły, gdzie by popadło. Jakiś czas słyszałem jeszcze z tyłu jego głos, ale później wszystko ucichło. Skręciliśmy w jakąś boczną ulicę, ale i tu było jasno. Z boku zobaczyłem plac zastawiony budkami. Stragany. Weszliśmy pomiędzy nie. Tutaj było ciemno. Zatrzymałem ją pod ścianą jednego z tych straganów. Przyparłem. Płaszcz miała rozpięty, już na dworcu miała rozpięty. Przez bluzkę poczułem jej piersi i zacisnąłem na nich palce tak, że choć nie miała się już gdzie cofnąć, to wydawało się, że się cofnęła. Jakby wparła się w tę ścianę. Ścisnąłem jej piersi, zgniatałem. Gdyby nie deszcz, mógłbym być z nią na ziemi, szarpnął bluzkę i na tych jej piersiach zaciskać swoje zęby. Chciałbym tego, och, jak bym tego chciał. Gdyby nie deszcz. Gdyby nie ten deszcz. A tak tylko czułem na twarzy włosy, szczęki miałem zaciśnięte tak, że chwilami chwycił je skurcz, a pod palcami miałem piersi, które zgniatałem, jak mogłem najsilniej.

Nie zmniejszając nacisku rąk, zacząłem przesuwając je w dół, na uda. Była w spódnicy. Podciągnąłem ją wysoko, aż do bioder. Znów opuściłem ręce i tak jak przed chwilą mocno ścisnąłem piersi, tak samo zacząłem teraz robić z udami. Szedłem do góry, rozchylałem je. Miałem teraz po bokach swoich nóg jej nogi. Nie można już było przycisnąć jej do ściany jeszcze mocniej, ale ja przycisnąłem. Szarpnąłem za bieliznę i rozdarłem. Wtedy rozszerzyłem jej uda jeszcze bardziej.

Wspierała się o ziemię palcami, więc czasami nogi jej zaczynały drżeć. A wtedy ja, kiedy tylko zaczynałem czuć to drżenie, zaczynałem brać ją jeszcze silniej i jeszcze mocniej, i wtedy drżenie to ustępowało. Kiedy w końcu odsunąłem się, a później cofnąłem, ona stała tak samo. Tylko że nie wspierała się już na palcach, ale stała na całych stopach. Ale tak samo miała rozchylone uda, a spódnica z bioder zaczęła się powoli obsuwać. I wtedy usłyszałem śmiech. Dochodził od budki stojącej niedaleko ulicy. Ona jakby chciała cofnąć się, ale została tak jak stała, a ja odwróciłem się i zacząłem iść w kierunku tego śmiechu. Kiedy byłem już blisko, ktoś wyszedł z cienia — dochodziło już tutaj światło z ulicy — i nadal śmiejąc się, zaczął się do mnie przybliżać. Poznałem Leona.

Pchnąłem go. A kiedy podniósł się i przestał się już śmiać — chciał coś powiedzieć — uderzyłem go pięścią w twarz. Upadł już na całkiem widocznym miejscu.

Zbierał się dość długo, chciał coś mówić. Wstał wreszcie i zatoczył się. Podeszedłem do niego i znowu uderzyłem go pięścią w twarz. Upadł na wznak, z szeroko rozrzuconymi rękami. Widziałem, jak przekręca głowę to w jedną stronę, to w drugą (oczy miał zamknięte) i usiłuje ją podnieść. Poszedłem dalej.

Kiedyś sobie pomyślałem, że gdybym po przebudzeniu się zapomniał, jaki to jest dzień, to niedzielę poznałbym zawsze na pewno. Ciekawe, że tego dnia budziłem się zawsze wcześniej niż zwykle. Tak było i teraz. Tylko kiedy obudziłem się i odrzuciłem kołdrę i oczekiwałem na ten przyjemny chłód, który nie ziębi, to zdziwiłem się, że choć na dworze świeci słońce, to w pokoju jest jakoś ciemnawo. Odwróciłem głowę i zobaczyłem, że okna zaciągnięte są zasłonami. Odczekałem jeszcze chwilę, aby wstać tak samo jak zawsze — nie za wcześnie i nie za późno, a potem podeszedłem do okna i odsłoniłem je. Postąłem tak jeszcze chwilę, po czym zacząłem szykować się do wyjścia.

Zawsze, w każdą niedzielę, jeśli tylko jest pogoda, jeżdżę nad jezioro. Lubię tam jeździć, coś mnie tam ciągnie. I zawsze więcej czasu spędzam w wodzie niż na plaży. Ale nawet kiedy leżę i odpoczywam, to kładę się na brzuchu i patrzę na jezioro.

Woda w tym jeziorze jest ciemna. Nie brudna czy mętna, ale po prostu ciemna. Jest mi tak jakoś bardzo dobrze, kiedy płynę albo przekręcam się na wznak i leżę, ruszając tylko jakby od niechcenia nogami. Tak, jakby od niechcenia. Wydaje mi się wtedy, że mógłbym nigdy nie wychodzić z wody. Dużo ludzi przyjeżdża nad to jezioro, ale nie przeszkadzają mi oni. Więcej nawet: gdybym przyjeżdżał tutaj tylko sam, to na pewno nie byłoby tak dobrze. Nie wiem dlaczego, ale czułbym się wtedy jakoś inaczej. A tak na brzegu pełno ludzi, trochę się kąpią, nie odpływając nigdy za daleko, i czasem też pływają kajakami. Tam gdzie pływam ja, nie pływa nigdy nikt. Bo ja wypływam zawsze na środek, a później skręcam w bok. Z trzech stron otaczają jezioro lasy, a od strony plaży, z obu jej stron, rosną wysokie trzciny. Tak że kiedy wypływam na środek, a później skręcam w bok, to nikt nikogo nie widzi, ani ja ich, ani oni mnie. Oni by mnie, co prawda, i tak nie widzieli, ale ja widziałbym ich i to byłoby tak, jakbyśmy się widzieli nawzajem. A tak mogę tylko słyszeć gwar na brzegu. Czasami, kiedy chcę słyszeć, przysłuchuję się chwilę temu gwarowi. Płynę wtedy wolno, ale nie leniwie, i słucham tych głosów skądś tam, których niepodobna zrozumieć. Ale już po chwili przestają słyszeć.

Szedłem już do wody, kiedy raptem zacząłem zwalniać, aż zatrzymałem się całkiem. Patrzyłem na nią z coraz większym zainteresowaniem. Była niewysoka i szczupła. Stała w małym rozkroku, nogi miała jakby trochę usztywnione, trzymała się pod boki i spoglądając na bawiące się dużą piłką dzieci, uśmiechała się. Patrzyłem na nią cały czas i uśmiechałem się i ja. Prawie że roześmiałem się. Ładna była! Nagle spojrzała w bok, na mnie. Jak zawsze w takich wypadkach bywa, tak i teraz musiała w jakiś sposób wyczuć, że ktoś ją obserwuje. Ale zaraz odwróciła